

Jerzy Markowski

MOIM ZDANIEM

Koniec z polityką. Idą Święta!

Zmęczeni polityką, wystraszeni wojną za naszą wschodnią granicą oraz znużeni bezproduktywnymi dyskusjami osób publicznych, dojrzańliśmy do najwspanialszego okresu w roku - do Świąt Bożego Narodzenia. Najbardziej czekamy na wigilię, i to z kilku powodów. Po pierwsze, że będziemy razem jak tylko się da. Po drugie, zjemy potrawy, które tego wieczora smakują wyjątkowo, zwłaszcza smażony karp. Po trzecie, niby nie chcemy, ale z ciekawością zerkamy pod choinkę - czy jest tam też coś dla nas. Ale najważniejszy jest odczuwalny podniosły nastrój obecności najbliższych. Doświadczony corocznymi spotkaniami wigilijnymi, chcę namówić Państwa do tego, aby pozwolić powspominać naszym dziadkom i rodzicom, dopóki są z nami. Jakże często nasi przodkowie uniesieni dostojeństwem chwili i atmosferą biesiady próbują podzielić się wspomnieniami. I tu następuje zachowanie tyleż nieodpowiedzialne, co często nieodwracalne w skutkach - mówimy dziadkom, rodzicom; "kiedyś nam to jeszcze opowiecie, ale teraz zjedzmy, napijmy się, pośpiewajmy". Skarzeni dziadkowie milkną, często czując, że następnej wspólnej wigilii może nie być i zamykają się w sobie z wiedzą, przeżyciami i wspomnieniami, których my - młodsi i jakże głębsi - nigdy nie poznamy. Do dziś nie mogę sobie wybaczyć, jak lekceważąco skutecznie karcielem Ojca i Teścia, którzy niemal co roku bezskutecznie chcieli nam opowiadać. Ojciec o biedzie, kopalni, wojsku, a Teść o wojnie i młodości pod Tarnopolem. Nie daliśmy im szans bezczelnie włączając telewizję, czy wymądrzając się własną oceną rzeczywistości, tak skomplikowanej, że przecież niezrozumiałej dla dziadków i ojców. Żalowaliśmy bezczelnie czasu nawet na wspólne oglądanie starych fotografii. Dziś, kiedy patrzymy na pożółkłe zdjęcia, często nie wiemy kto na nich jest. Dziś, kiedy często po śmierci przodków znajdujemy stare dokumenty, to nie potrafimy ich ulokować w realiach zdarzeń historycznych okresu w którym żyli nasi Dziadkowie i Babcie. Jak zatem po takiej głupiej nonszalancji się dziwić, że prawie nic nie wiemy jak było Matce na robotach u bauera, Ojcu w obozie, Babci na służbie we dworze, Dziadkowi w hucie, a Teściowi na samym froncie II wojny światowej, z którym przemierzył szlak od Riazania, przez Wał Pomorski za Berlin. Najgorsze jest to, że już się nigdy nie dowiemy. Co najgorsze, nawet jeżeli będziemy się chcieli dowiedzieć czegoś o tamtych czasach, to jesteśmy skazani nie na wiedzę, ale na interpretację historyków, którzy dostosowują fakty historyczne do współcześnie obowiązujących doktryn. A mieliśmy szansę się dowiedzieć. Wystarczyło być przez kilkadziesiąt minut na rok cicho i słuchać zamiast wymądrzać się, patrzeć zbiorowo w telewizor, lub co gorsza, indywidualnie w smartfona. A może spróbujemy w tym roku powspominać chociażby własnoręcznie robione ozdoby choinkowe. Te kolorowe łańcuchy z wycinanych papierków, palące się żywym ogniem świece, watę udającą śnieg i wycinane ze sreberka po czekoladzie gwiazdki na choinkę. To jest przecież nasze życie, ale i szkoła współżycia. Przypomnijmy karpie, które przez kilka dni "okupowały" nasze wanny, przy okazji zaprzyjaźniając się z nami. Przypomnijmy piekarnie, gdzie stał młynek do mielenia maku na makówki. Przypomnijmy smaki moczki, siemieniotki, makówek, czy kutii. A nawet spróbujmy to zrobić, dopóki Babcie pamiętają jak. Przypomnijmy cudowne spotkania na pasterce, często w gronie tych samych kolegów, a zwłaszcza koleżanek, z którymi chodziliśmy cały adwent na roraty z własnoręcznie zrobioną lampką, miejmy odwagę powiedzieć, że tak było i to w PRL-u! Było, bo chcieliśmy zachować tradycje i zwyczaje, które dziś bezczelnie postępujemy i ośmieszamy. Przypomnijmy gromki śpiew kolęd w noc wigilijną i podniosłość mszy, zwłaszcza w Pierwsze Święto. Nie jest największym dramatem to, że

wielu z nas jest agnastykami. Ale dramatem jest to, że nam się wydaje, że tego nie potrzebujemy - nic bardziej błędnego. Monotonia naszej współczesnej cywilizacji potrzebuje momentów wzniosłych - choćby po to, aby było co wspominać. Wiem, że dziś zebrało mi się na melancholię, ale lepiej jest wzbudzić melancholię przy stole wigilijnym niż bezskutecznie szukać wspomnień na pogrzebach babć, dziadków i rodziców. Na koniec muszę się przyznać do największego wyzwania jakie mnie czeka w każdą wigilię - a mianowicie do grania kolęd na akordeonie. Akordeon bowiem, stał się dla mnie najskuteczniejszym "odkłamaczem" historii. A było to tak. Kiedy byłem małym chłopcem, Matka bardzo chciała abym nauczył się gry na akordeonie. Nosił biedna ten akordeon dwa razy w tygodniu z ulicy 3 Maja na ulicę ks. Szramka w Zabrze, gdzie mieszkał Pan Kusidło, górnik grający w orkiestrze Kopalni "Makoszowy", a mój nauczyciel muzyki. Niewiele mnie nauczył, ale ponieważ słabo mówił po polsku, to nauczył mnie śpiewać, i co ważne, grać tylko kolędę "O Tannenbaum". Kiedy matka zmarła, ja sprzedałem akordeon i znaczki, a za pieniądze ze sprzedaży kupiłem sobie używany skuter "Wiatka", czyli radziecką wersję włoskiej "Vespy", a naszej nieco innej "Osy". Ale miałem spokój z graniem. Jednak aby zmotywować własne dzieci do nauki muzyki, syna gry na wiolonczeli, a córki na pianinie, opowiadałem im niestworzone rzeczy o moich umiejętnościach muzycznych. Aż przyszedł sądny dzień moich urodzin, kiedy żona kupiła mi nowiutki, lśniący czerwony akordeon. I wtedy okazało się, że nie potrafię już grać, chociaż dość selektywnie bo została mi pamięć muzyczna, dzięki której bez nut zagram wyżej wspomnianą "O Tannenbaum" i kilka polskich kolęd, i jakże by inaczej - hymn górniczy. I w ten sposób spełniam się artystycznie w Barbórkę i w Wigilię, czego moim czytelnikom też życzę. Jeszcze raz bardzo proszę - pozwólcie Babciom i Dziadkom "połosprawiać", czy poopowiadać, bo my tego potrzebujemy bardziej niż oni, ale my jeszcze o tym nie wiemy.